

Szajbka

25 kwietnia 2018

Obudziło mnie żonine poszturchiwanie w bok.

– Misiu, obudź się – szepcze mi słodko do ucha, waląc jednocześnie ostrym łokciem po nerkach. Takie właśnie są kobiety.

– Co się stało? – pytam ledwie rozbudzony i wkurzony, gdyż ostatnio mam znaczne zaległości w nocnym, odżywczo regularnym odlocie świadomości. Od jakichś dwóch tygodni słabo coś zasypiam. Słabo, to oczywiście eufemizm – mówiąc wprost nie mogę zasnąć w ogóle. Albowiem od właśnie dwóch tygodni, rozsadza mi czaszkę narastający z dnia na dzień, i z nocy na noc, ma się rozumieć, ból. Tępy, jakiś taki odśrodkowy, puchnący i dziwny. Jakby coś mi rośło w mózgu. I tylko co trzecią mniej więcej noc, gdy już z niewyspania nie mogę nawet myśleć, oczy same się zamykają i... usypiam na kilka krótkich chwil.

Właśnie w tak brylantowo cennym czasie, żona wali mnie łokciem.

– Przestań liczyć – prosi, lecz przecież nie wiem o co.

– Co? – podnoszę wreszcie ostrożnie powieki, lecz na szczęście wokół ciemność.

– Misiu – głaszcze mnie po głowie jak małego chłopczyka, choć mali chłopcy raczej nie łysieją. Tak intensywnie. – Ty przez sen liczysz. A raczej odliczasz po cichutku. Zacząłeś od około osiemnastu tysięcy, nie pamiętam, a teraz stanąłeś na szesnastu tysiącach dwustu osiemdziesięciu pięciu. Co ci się śni?

– Nic mi się nie śni. Boli mnie głowa. Odliczam?

– Tak misiu.

– Ale... co odliczam?

– No właśnie nie wiem.

– Śpij żabciu! – mówię, i zamykając oczy, całuję ją na chybił trafił. Wypadło na śliczny za dnia nosek, więc całkiem nieźle.

– Może jeszcze usnę.

Rzeczywiście usypiam. Nie na długo jednak. O ósmej ten przekłety budzik próbuje zamordować mnie swoją zegarową akuracnością. Muszę wstać, umyć się, ubrać i iść do roboty. Zarabiać na żabcię. Leży teraz słodko – z przyzwyczajenia nie reaguje już na to tykające, hałaśliwe dla mnie ustrojstwo, delikatnie mruczając. Z wiekiem, jestem pewien, to urocze, kocie mruczenie, zmieni się w ogłuszający, całonocny ryk startującego myśliwca, ale co się będę martwił na zapas.

Zrywam się z łóżka i natychmiast dopada mnie znajomy już, a jednak nowy, bo jeszcze silniejszy, ból głowy. Do tego niespodziewanie zaszpiło mi potężnie w zębie. Góra, lewo. Chyba piątka. Za co?

Poranne ablucje zajmują jak zwykle moment, jednak przy szorowaniu zębów szpilenie w piątce narasta, i już nie znika, lecz pulsuje psiakrew w takt całkiem jeszcze sprawnej pompki. Tłumi nawet swoim natężeniem, swoją intensywnością, ciągły przecież ból głowy. Na zasadzie – boli cię główka, mocno? Naderwij sobie zęba, to przestanie. Bola ząbki? Poharataj się kawałkiem potłuczonego szkła. Rwą krwawiące, świeże rany? Wydłub sobie oczko. Lewe na początek. Zwykłe maskowanie słabszego mocniejszym. Lub cichego głośniejszym. Wrona zawsze zakrzyczy skowronka.

Wychodzę jakoś z domu i zamierzam jechać prosto do roboty. Najmądrzejszy bowiem na świecie człowiek, jaskrawy błysk esencjonalnie czystej, skondensowanej w swej kryształowej mocy inteligencji, wzór niedościgły, czyli szef, nie patyczkuje się z nami i nie popuszcza nawet o milimetr.

Nie wytrzymuję jednak tej piątki. Krzywiąc się okropnie, podwójnie zasadnie z powodu genetycznej awersji, zwierzęcego lęku na samą myśl o wiadomym gabinecie, skręcam w stronę stacji pogotowia, w nadziei na choćby zwykłą wiertarkę do betonu lub lepiej, na kleszcze ekstrakcyjne. W fachowej, pewnej i silnej dłoni dentysty atlety.

Zawód jest okropny. Zlikwidowali stomatologa, wychodząc z idiotycznego założenia, iż pogotowie ma świadczyć pomoc wyjazdową, wyłącznie u potrzebujących jej nagle, bezzwłocznie, a przecież od zębów się nie umiera. Niezbyt szybko w każdym razie, choć często w okropnych męczarniach. Ale to wielka rzadkość. Zgon znaczy, bo męczarnie, to i owszem. Nagminnie. No i jak tu wozić całe te fotele, wiertarki, spluwaczki? I jeszcze może biegać z tym żelastwem po piętrach? Więc pozbyli się. Uzyskuję jedynie adres najbliższego gabinetu i tam właśnie w te pędy biegnę. Niedaleko.

Gabinecik na drugim pięterku, w jednym z prywatnych apartamentów potężnego doktora. Potężnego posturą, tubalnym barytonem, zwichrzoną czupryną. Nieogolony, oczka senne całkiem, małe. Nie zdążył się jeszcze z rana ogarnąć. Ale zwiwna pielęgniareczka w pełnej gotowości, uśmiechnięta zawodowo, pachnąca. Pewnie dochodząca z zewnątrz, z miasta.

Sadzają mnie na seledynowym fotelu, każą czekać. Ból mija jak ręką odjął, lecz to przecież tylko nerwowa ułuda. Zawsze tak mam u dentysty, na sekundy przed. Oni zresztą wiedzą o takich, rozumieją, współczują nawet. Czasem.

Doktor oporządził się jakoś wreszcie, przebrał na białe, naciągnął gumiste rękawiczki na potężne paluchy. Siada obok, włącza silny reflektor, patrzy na mnie ciekawie.

– Gdzie boli? – ryczy mi w twarz.

Rozdziawiam paszczę i pokazuję palcem. Doktor wkłada mi do jamy okrągłe lustro na metalowym patyku i ogląda piątkę szczegółowo.

- Niedobrze – mówi. – Ropień.
- Czyli? – pytam dla pewności, lecz przecież wiem.
- Ekstrakcja. Zgadza się pan?
- Tak – mówię. – Nie ma wyjścia.
- Ano nie ma proszę pana. Zosiu! – ryczy do pielęgniarki. – Papiery.

Ulotna Zosia prosi mnie o dane, zakłada mi kartotekę. Podpisuję się zamasyście we właściwych rubryczkach. Wszystko formalnie, przepisowo. Opowiadam doktorowi o historii bólu, dorzucam okoliczności, w tym o głowie i permanentnym braku snu. Dziwi się trochę, ale piątka jest ewidentnym, namacalnym dowodem konieczności stomatologicznej. Niezależnie od wszystkiego.

Psika mi wreszcie po zębach jakimś lodowatym, przyjemnie, alkoholowo pachnącym aerozolem, wpycha do gęby stare gazety, czy może serwetę haftowaną, koryguje położenie podgłówek. Zastanawiająco delikatnie i bezboleśnie znieczula.

- Ekstraktor trójka! – wrzeszczy gdzieś w bok.

Po chwili czuję w ustach zimny, twardy metal, zamykam oczy, sztywnieję w kamień. Odruchowo, podświadomie, odliczam w myśli; szesnaście tysięcy, dwieście osiemdziesiąt cztery, szesnaście tysięcy, dwieście osiemdziesiąt trzy, szesnaście tysięcy, dwieście osiemdziesiąt dwa...

Obcęgi zaciskają się, doktor lekko, mimo paluchów, zadziwiająco ostrożnie i delikatnie rusza ropiejącym wyrodkiem w lewo, w prawo, po czym jednym, pewnym ruchem, wyciąga mi go z dziąsła. Prawie bezboleśnie.

I tu, w tym dopiero miejscu, zaczyna się sedno tej dziwnej opowieści. Poprzednie literki, wyrazy ułożone jako tako w zdania, to tylko nastrojowe wprowadzenie.

– O cholera! – ryczy doktor, wstrzymując w połowie szablonowy, jakże ograny ruch ekstrakcyjny, momentalnie stopując uzbrojoną w kleszcze rękę, zmierzającą standardowo w kierunku spluwaczki i śmietnika jednocześnie. – Co to jest?

Wywałam gały i też widzę. W zaciśniętych, chromowanych kleszczach tkwi zakrwawiony, częściowo sinobury ząb, z którego wybiegają trzy cieniotkie, różnokolorowe, luźno się skręcające... przewody, biegnące do pustego teraz miejsca w moich dziąsłach, sikającej krwią dziury. Czy raczej stamtąd wybiegające.

– Zosiu – szepcze tym razem, pełen zadziwiającego refleksu sytuacyjnego, doktor. – Nereczkę proszę, waciki i... foto.

Gibka pielęgniarka jest jak dobrze naoliwiona maszynka do instrumentowania. Natychmiast podaje doktorowi czyściutką, emaliowaną na biało nerkę, do której ten wypuszcza z kleszczy wyrwany dopiero co ząb. Ten uderza lekko o metalowe dno nerki, podskakując dwa razy na giętkich przewodzikach, nieruchomieje. Prawie jednocześnie doktor wypycha mnie wacikami, tamując wyciekającą z dziury po zębie krew, uważając jednocześnie na delikatną nie wiadomo do czego służącą instalację przewodową. Zosia, jakby trzymała go tam od rana, wyciąga zza pazuchy elegancki aparacik cyfrowy, i fachowo pstryka kilkanaście zdjęć. Pełen profesjonalizm, skuteczność, kompetencje.

– Wie pan coś na ten temat? – doktor, podsuwa mi pod oczy nerkę.

– Unhmm... – wydaję nieokreślone mruczenie, jako, że wypełnia mnie doszczętnie, gębowo, jakieś pół kilograma szmat i papierów. Doktor zręcznie, drugą ręką, chwyta więc ze stolika podręcznego zakrzywioną pęsetę i stopniowo oczyszcza z bawełny. I z celulozy. Mogę ostrożnie mówić.

– Ależ skąd! – mówię więc, lekko tylko zniekształcając, z uwagi na wybiegające mi z ust przewodziki. No i zbierającą się ciągle, choć już nie tak gwałtownie krew. – Pierwsze to widzę.

Doktor jest systematyczny, ostrożny, przewidujący. Perła wśród zębowych medyków. Z pomocą Zosi robi mi wokół twarzy zmyślną opaskę, mocującą bezpiecznie, pewnie, plastikową fiolkę, do której przenosi oprzewodowany ząb, myjąc go uprzednio stosownymi płynami, oczyszczając. Wyglądam chyba jak nie do końca odbandażowana mumia egipska, ale daje to nam czas na zastanowienie. Dostaję też zastrzyk przeciwbólowy, mający działanie wielogodzinne. Krwawienie powoli ustaje, możemy spokojnie omówić problem.

– A więc zupełnie pan nie wie, co to za instalacja?

– Zupełnie.

– Hm... – zastanawia się. – Żadne zabiegi w okolicy... głowy, szczęki, wypadki, urazy?

– Nic.

Milczymy dłuższą chwilę, kombinując intensywnie. Ból zęba, głównie z powodu jego nieobecności w karnym, zdrowym dotąd szeregu, mija. Zaczyna dominować ból głowy.

– Wie pan co? – odzywa się w końcu doktor. Nie ryczy już, jest prawdziwie zafrasowany. – Nie możemy tu niczego w ciemno zmieniać, ryzykować. Mam brata bliźniaka, znanego radiologa. Przejedziemy się do niego, do szpitala wojskowego, zrobimy panu tomografię. To powinno sprawę wyjaśnić. Dobrze?

Godzę się bez zastrzeżeń. Doktor wykonuje kilka telefonów, szykuje się, zostawia Zosię na dentystycznym gospodarstwie. Wychodzimy, jedziemy jego samochodem na tomografię. Życzliwość, dbałość o pacjenta, kultura. A onnipotentne bóstwo, mój szef ukochany, musi się wstrzymać z bólami. Nawet nie dzwonię do firmy – jestem całkowicie, formalnie, usprawiedliwiony.

* * *

A więc już po godzinnej, tomograficznej sesji zdjęciowej.

Teraz przyszedł czas na opracowywanie danych, analizy, wstępne diagnozy. Mogę się ubrać, rozprostować kości, ogrzać. Do pomieszczeń obok naszło się całe mnóstwo poubieranych na biało ludzi – starszych, młodszych, ale i osoby mundurowe, szarże. Jak to w popularnym, renomowanym szpitalu wojskowym, świadczącym usługi medyczne nie tylko dla armii.

Licznie zgromadzeni specjaliści oglądają mnie, skanują ciekawsko wzrokiem, perorują i gestykulują. Widzę to wszystko poprzez zielonkawą szybę, oddzielającą bezpiecznie rentgenowsko przecież pracujący tomograf od obsługi. Nie słyszę niczego, jednak atmosfera dyskusji wydaje się gorącą. Pomieszczenia za szybą, sterownia, pustoszeją wreszcie radykalnie, pielęgniarka prosi mnie do środka. Ściskam rękę kierownika radiologii, pułkownika zresztą, rzeczywiście bliźniaczo podobnego do dentysty. Siadamy na wprost siebie. Wokół wielkie monitory, klawiatury, urządzenia. Cichutko szumi klimatyzacja, gotuje się woda na kawę.

– Proszę popatrzeć na swój mózg – mówi radiologiczny pułkownik i pokazuje mi na monitorze kilka dziwnych obrazków.

– Ja się na tym ani w ząb, he, he, nie znam – konstatuje lekko, lecz jak zwykle wychodzi płasko. Ale na zdjęcia patrzę ciekawie. – To... bardzo skomplikowane, jak widzę.

– Owszem – uśmiecha się pułkownik. – I dziwne. A najdziwniejsze jest to – pokazuje także grubym paluchem na małe, wyraźne kółko.

– Ta... szajbka? – pytam dla pewności.

– Tak. Rzeczywiście wygląda jak... szajbka – ponownie uśmiech. – Jednak, jeśli wziąć pod uwagę kilkanaście kątów, pod jakimi te zdjęcia zrobiono, to okazuje się, że to nie... szajbka. To idealna, jednorodna strukturalnie kulka, wielkości piłeczki pingpongowej. W pańskim mózgu, w samym jego środku. Twór sztuczny i... nie do wyjęcia. Stąd zagadka – jeśli można włożyć, to dlaczego nie można wyjąć?

– No to... niby skąd ta kulkowata... szajbka? – dziwię się, choć bez specjalnego zamartwiania. Jestem wszak w dobrych, fachowych rękach. Chociaż głowa boli.

– To, mam nadzieję, ustalimy później – mówi drugi mundurowy, też pułkownik. Jednak niższy wzrostem. Znacznie. – Teraz musimy panu uświadomić, z czym mamy do czynienia.

– O...! Słucham.

– No więc – miniaturowy pułkownik ma całkowicie adekwatny do mizernej postury głosik. – Nasz sprzęt dysponuje kilkoma rzadkimi możliwościami. Możemy nim na przykład wykonać pomiar gęstości wybranego fragmentu... mózgu. W tym przypadku. I... wykonaliśmy takie pomiary dla... pańskiej kulki.

– To żadna moja kulka! – protestuję.

– Tak, wiem, wiem – przepraszam – usprawiedliwia się pułkowniczek.

– I... co? – pytam.

– Ta kulka wykonana jest z... pierwszorzędnej jakości mosiądzu, przypuszczalnie połączana dla zubożenia biologicznego – przejmuje wyjaśnienia bliźniak, wymachując potężnymi łapskami przed monitorem. I rycząc. – Grubościenna – ścianka około siedmiu milimetrów. A wewnątrz... materiał, hm... wysokoenergetyczny.

– Co?

– Mówiąc wprost... trotyl. – uściśla niechętnie pułkownik.

– Mam... w głowie... bombkę? – krzyczę.

Z nerwów, podświadomie, odliczam w myśli; szesnaście tysięcy, dwieście osiemdziesiąt jeden, szesnaście tysięcy, dwieście osiemdziesiąt, szesnaście tysięcy, dwieście siedemdziesiąt dziewięć...

– Na to wygląda – ryczy radiolog. – A z bombki tej wychodzą trzy przewodniki i biegnąc poprzez strukturę kostną czaszki, wchodzi do zęba. Który jest, jak sądzymy, skomplikowanym... zapalnikiem.

– Chryste Panie! – wydzieram się przerażony. – Szesnaście tysięcy, dwieście siedemdziesiąt osiem, szesnaście tysięcy, dwieście siedemdziesiąt siedem... – I co teraz?

– Cóż... – włącza się ponownie miniaturka. – Zmienia pan swój status... prawny.

– Słucham? – nie rozumiem.

– Przechodzi pan pod jurysdykcję przepisów i zasad... antyterrorystycznych. Przymusowo. Za... godzinę, będą tu... saperzy.

– Mój Boże – trzęsę się cały. – Kto mi to zrobił, kiedy, jak?

Obaj wojskowi patrzą po sobie, wreszcie wielki pyta;

– Był pan może kiedyś... porwany przez... UFO?

– Co też pan – dziwię się. – Ja... nie wierzę w te... bzdury.

– Nie? Szkoda. – wielki patrzy w sufit. – Ostatnio mamy mnóstwo doniesień. Wzięcia, ingerencje hm... medyczne, implanty, wymazywanie pamięci po... fakcie. Masowo, wszędzie. Pan dużo podróżuje służbowo. Może pan... nie pamiętać. Spartolili coś, wdało się zakażenie, ropień.

– Żartuje pan oczywiście?

– Nie! – strzela krótko.

Do sterowni wjeżdża wielki, solidny wózek, popychany przez dwóch umięśnionych pielęgniarzy. Kładą mnie na nim, przykrywają troskliwie i czym prędzej odwożą gdzieś w odległe kazamaty szpitalne, wybuchowo bezpieczne. Gdzie mam czekać na saperów.

Szesnaście tysięcy, dwieście siedemdziesiąt sześć, szesnaście tysięcy, dwieście siedemdziesiąt pięć...

Dzwonię jednak do firmy, do żony, po czym zmęczony wydarzeniami usypiam.

* * *

– To ten! – słyszę głos, zwielokrotniony pogłosem betonowej sali bez okien i przeraźliwy huk stalowych drzwi. Budzę się.

Przede mną dwóch ludzi w mundurach polowych, z jakimiś brezentowymi torbami w rękach. Patrzą na mnie spode łba, jednocześnie rozglądając się wokół. Wielka sztuka. Obaj to kaprale.

– Witamy – mówi starszy. Wiekiem. – Mamy pana rozbroić.

– Ale... ja nie jestem uzbrojony – stwierdzam ostrożnie.

– Nie? – dziwi się drugi. – Powiedziano nam, że ma pan w głowie bombę.

– Owszem, ale... wbrew sobie – wyjaśniam. Nie wiem po co, ale taką mam naturę. Ugodową.

– Nieważne – mówi spokojnie starszy. – Ile mamy czasu?

– Czasu? Na co? – pytam zdumiony.

– Do... eksplozji. Na jakiej liczbie pan... stanął?

– A... – zrozumiałem chyba. – Na... szesnastu tysiącach, dwustu siedemdziesięciu pięciu. Już czterech. Ale... skąd wiecie?

– To nasz zawód. Za to nam płacą. A czasu mamy mnóstwo.

– Dowiem się, o co chodzi? – pytam bez wielkiej nadziei.

– Nie. Tajemnica! – odpowiada młodszy i gmera w kieszeni. Wyciąga schechłany, pokrzywiony obcinacz do paznokci, który podaje starszemu; – Trzymaj Stefan.

Starszy wiekiem kaprał podchodzi do mnie, zakłada okulary i przygląda się badawczo plastikowej fiolce z zębem. Młodszy przyświeca mu wielką latarką.

– Spartolili – mówi starszy. Przybliża rękę z obcinaczem i zaczyna gmerać w przewodzikach. – Czerwony? – zwraca się do młodszego, jakby sprawdzał jego wiedzę.

– Czerwony – zdecydowanie, pewnie, potwierdza młodszy.

Saper wyłuskuje delikatny, czerwony przewodzik i próbuje go przeciąć. Nic z tego – albo zmaltretowany obcinacz jest tępy, albo przewód wyjątkowo odporny.

– O! – dziwi się kaprał. – Włókno węglowe, nanorurki... Zmiany, zmiany. Zaraz cię dorwę!

Otwiera brezentową torbę, w której jest mnóstwo kieszonek z przeróżnymi narzędziami. Z jednej z nich wyciąga importowane, niemieckie cięcia boczne z ostrzami z węglików spiekanych. Ponownie wyłuskuje czerwony przewodzik.

– Przecinam na trzy – mówi w przestrzeń. – Raz, dwa, trz...

KONIEC

Autorstwo: Golesz

Źródło: WolneMedia.net